

Skarabeusz z Jajouki

Masterton Graham



calibre 0.9.43

SKARABEUSZ Z JAJOUKI

Fez, Maroko

Poznałem Maroko dzięki nie żyjącemu już Brionowi Gysinowi, którego mistyczna powieść *Proces* jest niezwykłym przeglądem reakcji psychicznych i wierzeń mieszkańców północnego obrzeża Sahary. Rozmawialiśmy o tej sprawie w marcu 1970 roku, w pewnej restauracji w Covent Garden. Do tej pory przechowuję zapiski, które porobiłem wówczas na serwetkach stołowych.

Opowiadanie to dedykuję Brionowi - zdumiewającemu malarzowi i błyskotliwemu pisarzowi, jednemu z największych, choć niedocenionych talentów XX wieku.

"Maroko jest gościnne aż do przesady, ale stanowi kraj pełen tajemnic, a co więcej -

kraj rozkoszujący się swoimi sekretami. Jajoukański skarabeusz jest jedną z jego największych tajemnic i trzeba by człowieka znacznie bogatszego ode mnie, żeby ją zbadać.

Fez jest świętym miastem islamu, położonym malowniczo w dolinie Sebu, otoczonym sadami owocowymi, plantacjami oliwek i gajami pomarańczowymi. Meczet Mulai Idris, wzniesiony ponad tysiąc lat temu przez założycieli Fezu, jest tak święty, że żadnemu chrześcijaninowi ani Żydowi nie wolno nawet zbliżyć się do niego. Karueen jest największym meczetem w Afryce: uczęszcza do niego regularnie ponad tysiąc uczniów studiujących klasyczne prawo arabskie i teologię islamską.

Zwiedzanie Fezu przynosi niesamowite, niezapomniane przeżycia. A daleko od Fezu, wysoko w górach Rif można przeżyć coś szczególnie porywającego.

Dwadzieścia siedem lat później w foyer hotelu Splendid w Port-au-Prince podszedł do niego niski, czarny mężczyzna o ptasiej urodzie, w okularach mających złotą oprawę, ubrany w nieskazitelnie biały garnitur.

Mężczyzna zdjął kapelusz, odsłaniając łysą głowę, przypominającą wypolerowany orzech brazylijski. Jego przednie zęby były ze szczerzego złota.

- Czy mam zaszczyt z doktorem Donnellym? – Jego akcent wskazywał raczej na pochodzenie algierskie lub marokańskie niż na haitańskie.

- Tak. Nazywam się Grant Donnelly.

- Od wielu lat pragnąłem pana poznać. Podziwiam pańskie osiągnięcia.

- To bardzo miło z pańskiej strony. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Petra, żona Granta, czekała na niego przy oszklonych drzwiach, wiodących do ogrodu.

Złapała jego wzrok i podniosła rękę.

Grant chciał odejść, ale mężczyzna dotknął jego rękawa.

- Doktorze, proszę... Zanim pan pójdzie. Przestudiowałem wszystkie pańskie prace naukowe i wszystkie pańskie książki. Są drobiazgowo i wszechstronne. Brakuje w nich jednak pewnego ważnego szczegółu.

- Rzeczywiście?

- Jak to się stało, że wielki ekspert napisał Owady Afryki Północnej bez wzmianki o jajoukańskim skarabeuszu? - Mężczyzna puścił rękaw marynarki Granta. Uśmiechał się bez przekonania. Słońce odbijało się w jego okularach, tak że chwilami wyglądał jak niewidomy.

- Jestem bogatym człowiekiem, doktorze Donnelly. Oferuję dużą sumę pieniędzy za informację, dzięki której mógłbym znaleźć jajoukańskiego skarabeusza.

Grant ledwo dostrzegalnie pokręcił głową: Słowa mężczyzny przywiodły mu na myśl muzykę fletową, aromat kifu i jedwabiste szmery rozmów - to wszystko, co zapada na zawsze w serca ludzi, którzy kiedykolwiek podróżowali do granic Sahary.

- Zrobię z pana bogatego człowieka, doktorze Donnelly, jeśli wskaże mi pan miejsce, gdzie można znaleźć tego skarabeusza.

- Nie ma takiego chrząszcza - powiedział nieco niepewnie Grant.

Mężczyzna przechylił na bok głowę i spojrzał na niego z pogardliwą nieufnością.

- Nie ma takiego chrząszcza, doktorze Donnelly? Naprawdę?

- Niech pan mi uwierzy - upierał się Grant - to jest mit. To jest opowiadanie, wymyślone przez marokańskich bouhanis, żeby naciągać ludzi z Zachodu. Nie ma takiego chrząszcza.

Jeśli ktokolwiek twierdzi inaczej, to znaczy, że chce z pana zakpić.

- Nie ma takiego chrząszcza, panie - zakończył temat

Hakim. - Opowiedziano panu same kłamstwa.

Grant wytrząsnął następnego papierosa Casa Spoft z pogniecionej, papierowej paczki.

- Hakim, rozmawiałem z profesorem Hemmerem z Instytutu Historii Naturalnej w Tangerze.

On wie wszystko o tym skarabeuszu.

- Więc jemu też naopowiadano kłamstw.

Roanowa odbywała się na Starym Mieście, wczesnym latem 1967 roku, w kawiarni Fuentes na Socco – małym placyku, gęsto usianym kafejkami, straganami Hindusów i sklepami z biżuterią,

oferującymi szwedzkim turystom szwajcarskie zegarki o podejrzanym pochodzeniu.

Pili miętową herbatę i jedli pączki gęsto obsypane cukrem, a Hakim palił kif. Osobliwy, aromatyczny dym unosił się nad placem i nikał w bladofioletowym powietrzu. Wewnątrz jasno oświetlonej kawiarni starzy mężczyźni w pasiastych dżelabijach słuchali kairskiego radia na falach krótkich.

- Profesor Hemmer był pewien, że to jest bardzo mały chrząszcz z rodziny skarabeuszów -
powiedziała Suzanna.

Hakim popatrzył na nią ciemnymi, nieprzenikniętymi oczami.

- Profesor Hemmer jest Niemcem. Nie wie, co istnieje, a co nie istnieje.

Grant zapalił papierosa, wciągnął dym i zaniósł się kaszlem.

Dym smakował tak, jakby tytoń był nasiąknięty miodem, cynamonem i roztopionym na słońcu asfaltem.

2

- Zdaje się więc, że odbyliśmy taki kawał drogi na próżno. Wielka szkoda. Uniwersytet przeznaczył na nasz projekt sumę znacznie przewyższającą potrzeby, więc zostało jeszcze mnóstwo pieniędzy.

- Całe bogactwo Ameryki nie jest w stanie zmienić rzeczywistości - odparł Hakim.

Grant poprawił się na swoim niewygodnym krześle z giętego drzewa. Oboje z Suzanną pracowali w Maroku już od siedmiu i pół miesiąca, więc zdążył się przyzwyczaić do niejasności i wymijającego charakteru rozmów towarzyszących wszystkim zawierającym tu interesom. Ale przebyli tego dnia szmat drogi, był zmęczony, tak że powtarzające się ze strony Hakima zaprzeczenia zaczynały go denerwować.

Skończyli przewidziane programem prace, obejmujące między innymi gruntowne badania nad cyklem życia chrząszcza gnojaka i rozwiązanie problemu plagi wołki zbożowej, które miało pomóc władzom marokańskim w zmniejszeniu strat w magazynach zbożowych i składach.

Tymczasem dwa tygodnie wcześniej, przy okazji wydanego na ich cześć obiadu pożegnalnego w domu generalnego dyrektora studiów etnicznych w Kebirze, siedzieli obok palącego bezustannie papierosy starego Francuza o nazwisku Duvic, który spędził w hotelu czterdzieści pięć lat. Kiedy dowiedział się, że są badaczami owadów, zaczął się ochryple śmiać i powiedział im, że jego zdaniem tylko jeden chrząszcz wart jest badań, a mianowicie skarabeusz jajoukański, Scarabaeidae jajoukae, tak zwany chrząszcz penisowy.

- Dlaczego, u licha, tak go nazywają? - spytała go Suzanna. Jej zielone oczy lśniły jak potłuczone szkło.

Duvic zakaszał i wypluł gęstą plwocinę do chusteczki. Miał białe wąsy, zabarwione z jednej strony

nikotyną na kolor musztardy.

- Nie powinna była pani o to pytać. W Little Hills używają go podczas obrzędów ślubnych...

Zastępuje kif. Kiedy pali się kif, wchodzi się w inny świat i osiąga się taki sam stan, w jakim są bouhani, święci obłąkańcy, którzy potrafią przenikać przez ściany i dyskutować o problemach politycznych z umarłymi. Natomiast kiedy użyje się penisowego chrząszcza, odkrywa się samego siebie: widzi się siebie z taką wyrazistością, że aż trudno to wytrzymać.

Aimez-vous l'agonie? – Przez moment zawahał się, zakaszał, a potem ciągnął: - Dwanaście, trzynaście lat temu, w pewnym burdelu w Mascarze zaproponowano mi skarabeusza.

Odmówiłem. Muszę wyznać, że byłem zbyt przestraszany. Mimo że byłem wtedy bogaty, żądano za niego więcej, niż mogłem zapłacić: ponad piętnaście tysięcy franków. Teraz żałuję... No cóż, trudno, żałowanie niczego nie odmieni. Niedługo umrę...

- Czy ten skarabeusz rzeczywiście istnieje? - spytał Grant z szybko narastającym entuzjazmem. Miał już wizję przyszłych artykułów, książek, podróży z odczytami. Stał przed trzystoma uczonymi, chrząka i mówi: "Nikt z państwa nie słyszał o Scarabaeidae jajoukae, znanym w Little Hills w Maroku pod bardziej powszechną nazwą jako

>>jajoukański chrząszcz penisowy<<". Co za otwarcie!

Francuz był już pod dobrą datą; wypił za dużo algierskiej brandy i nagle zrobił się cnotliwy. Zaczął powtarzać w kółko: "Przepraszam, że wam to opowiedziałem".

Grant i Suzanna mieli odlecieć następnego dnia do Stanów, ale wczesnym rankiem Grant porozmawiał przez trzeszczący telefon z profesorem Hemmerem z Tangeru.

- Znam oczywiście skarabeusza z Jajouki – wyznał profesor. - Bardzo rzadki chrząszcz, żywiący się nektarem, jaki wydziela kwiat kif, nektarem, który my nazywamy haszyszem.

Widziałem tego skarabeusza na rysunkach i czytałem opisy. Jest wzmiankowany, zdaje mi 3

się, w Owadach afrykańskich Quintiniego. O ile wiem, żyje tylko na łąkach, gdzie kwitnie kif, w Ketamie, w wysokich górach Rif.

- Czemu nazywają go "penisowym chrząszczem"?

- To bardzo proste. Kiedy chrząszcz zostaje zaniepokojony, wydziela z siebie środek chemiczny, silnie drażniący; podobno niektórzy górale wprowadzali go przed stosunkiem do męskiej cewki moczowej, w celu zintensyfikowania doznania seksualnego. Nie wiem, czy można je jeszcze znaleźć. Prawdopodobnie wyginęły skutkiem stosowania środków owadobójczych. Słyszałem o milionerach, którzy oferowali królewskie sumy za pojedynczego chrząszcza. Ale, naturalnie, problem polega na znalezieniu go. Prócz tego używanie go jest surowo zakazane z powodów religijnych, ponieważ muzułmanie wierzą w absolutną świętość ciała. Istnieje też zakaz prawny, gdyż rząd uważa, że byłoby to niepożądane ze względu na turystykę. Ostatnią rzeczą, której by pragnęli, to zrobienie z gór

Rif drugiego Bangkoku, rojącego się od ludzi z Zachodu, przybywających w poszukiwaniu nowych doznań seksualnych. I tak jest już wystarczająco źle, biorąc pod uwagę moich rodaków oferujących błyszczące rowery wyścigowe młodym chłopcom na plażach.

Profesor Hemmer wybuchnął śmiechem. Grant położył słuchawkę staromodnego telefonu na widelkach. Skórzane walizki były już spakowane i czekały w turkusowym hallu hotelu Africanus. Dziewięć skrzynek z materiałem do badań i trzy skrzynki z okazami wysłano już wcześniej do Paryża.

Suzanna chciała odłożyć poszukiwania *Scarabaeidae* i wracać do Bostonu. "Możemy poszukać go w przyszłym roku". Ale Grant wiedział, że jeśli nie spróbują teraz, to nie znajdą go już nigdy. Jeśli się stąd wyjedzie, nie uda się tu wrócić. Przynajmniej nie do takiego samego układu stosunków. Można będzie do końca życia przypominać sobie radio Kair na falach krótkich i tubalne, przyprawiające o ciarki tony raitas, podobne do dźwięku obojów słyszanych w narkotycznym, nie kończącym się śnie. Ale kiedy się wróci, wtedy drzwi hotelu okażą się szczelnie zamknięte, medyna będzie opuszczona, a wszystkie sekrety Starego Miasta na zawsze stracone. Można będzie pić miętową herbatę już tylko w charakterze turysty, a nie brata, który zna Tajemnicę.

Profesor Hemmer dał mu adres Hakima, który pracował kiedyś jako asystent u doktora Timothy'ego Soodamora, angielskiego botanika. Soodamor spędził pięć lat na wysokim płaskowyżu w górach Atlas. Badał najpierw tamtejszą florę, potem muzykę ludową, a jeszcze później szukał ukrytych skarbów, o których wiedzieli tylko czarodzieje Soussi, mający tajne rejestry wszystkich skarbów, ukrytych kiedykolwiek na tym terenie. Jeśli w ogóle istnieli ludzie, którzy wiedzieli, gdzie należy szukać *Scarabaeidae*, to z pewnością należał

do nich Hakim.

A jednak nie wiedział, a przynajmniej tak twierdził, siedząc nad miętową herbatą i paląc kif w cienkiej fajeczce z sebsi szczupły i szorstki, ubrany w biały, lniany burnus i także spodnie oraz czerwone, jedwabne pantofle. Na starannie ogolonej głowie nosił czerwony tarboosh; chuda twarz miała mnóstwo zmarszczek układających się pod różnymi kątami, jak na obrazach kubistów, i nigdy nie wyglądała tak samo. Tylko oczy patrzyły spokojnie i nieruchomo. Cała reszta jego ciała mogła wstać i pójść, a one zostałyby, zawieszony w powietrzu jak fatamorgana, wpatrzone w rozmówcę.

Grant był jego przeciwieństwem; przed dwoma tygodniami skończył trzydzieści jeden lat, był mocno zbudowany, miał lekką nadwagę, włosy wybielone słońcem, takie jakie mają surfiści, i twarz typowego quarterbacka: niebieskie oczy, złamany nos i szczery, szeroki uśmiech. W najmniejszym stopniu nie przypominał czołowego amerykańskiego eksperta w dziedzinie badań wpływu owadów na środowisko człowieka - póki przynajmniej nie założył

4

okrągłych, szylkretowych okularów, w których był niesłuchanie podobny do swojego zmarłego ojca, autora dzieła *Owady Ameryki*.

Z Suzanną Morrison zaczął pracować już na ostatnim roku studiów. Ich przyjaźń była intymna, chociaż czasem ledwie się tolerowali. Suzanna była wysoka, miała energiczny wyraz twarzy, wysoko

osadzone kości policzkowe, głębokie oczy i lśniące, brązowe włosy, sięgające jej do piersi, ale odkąd przybyli do Maroka, ukrywała je pod szarfą, którą często owijała sobie całą twarz, tak że widać było tylko oczy. Nadawało jej to pewną godność, a wspólnota męska doceniała

jej styl i miała dla niej szacunek. Nie była jedną z tych turystek czy studentek, kręcących się wszędzie z nagimi twarzami, ani też jedną z ich własnych kobiet, które wybiegały z domów po groszowe zakupy, zakrywając twarze byle czym.

Miała znacznie silniejsze poczucie wewnętrznej wolności, niż sądziła męska wspólnota. Przerwała na rok studia na uniwersytecie SUNY i pojechała autostopem do La Jolla w Kalifornii, gdzie żyła w komunie o nazwie "Błyszczące Oko", w której natychmiastowe, jawne zaspokajanie dowolnej zachcianki seksualnej było podstawą filozofii zwanej "Otwarciem". "Otwórz przed każdym swój umysł, otwórz dla każdego swoje ciało".

Teraz trzymała się w ryzach, ale mimo to ciągle onieśmiała Granta. Jej seksualność była niemal słyszalna: ocierające się uda, rozchylone wargi, trzepoczące powieki i jedwabisty szelest włosów, podobny do szelestu piasku przesypującego się w świetle księżyca przez krawędź Grand Erg na Saharze.

Kiedy po raz pierwszy poszli ze sobą do łóżka (w Paryżu, przy ulicy Chalgrin, w sypialni hotelu La Residence du Bois), opowiedziała mu bez skrępowania, że kiedyś uprawiała seks z pięcioma mężczyznami jednocześnie. Myślał, że żartuje, ponieważ nie mógł

sobie tego wyobrazić. Ale kiedy mu to dokładnie i poważnie wyjaśniła, zamilkł na resztę dnia, podniecony i zarazem głęboko wstrząśnięty.

Tego wieczoru Suzanna owinęła głowę szarfą koloru indyga i włożyła bawełnianą, nieskazitelnie białą suknię, skrojoną na wzór dżelabiji. Grant wiedział, że pod suknią jest naga; kiedy pochylał się nad stołem, rozmawiając z Hakimem, widział, jak kołyszają się jej ciężkie piersi.

W owych dniach nie zawsze się z sobą zgadzali, a nawet w okresach zgody nie zawsze z sobą sypiali. W ciągu ostatnich siedmiu i pół miesięcy bywało, że kłócili się dość gwałtownie. Kłócili się w kwestii skarabeusza z Jajouki: czy powinni wrócić do Bostonu i dać sobie z nim spokój? Ale teraz znów byli pogodzeni, bliscy sobie, wyczuleni na to, co drugie mówi albo ma zamiar powiedzieć, a nawet myśli. Grant uwielbiał takie okresy. Dawało mu to poczucie własnego "ja": do jego świadomości docierało to, gdzie się znajduje i w jakiej roli występuje. Czuł wyraźnie, że jest zarówno opiekującym się, jak i tym, którym się ktoś opiekuje w miejscu położonym 35,4 stopnia na północ od równika i 1,1 stopnia na wschód od Greenwich.

Suzanna odezwała się do Hakima:

- A jeśli obiecamy, że nikomu nie powiemy, co znaleźliśmy. Czy wtedy zaprowadzi nas pan do chrząszcza?

Hakim popatrzył na Granta.

- Czy ta kobieta mówi w twoim imieniu, panie?

Grant z niecierpliwością wypuścił kłęb dymu.

- Tak, mówi w moim imieniu. A czasem nawet w swoim.

5

- Nie ma chrząszcza - odparł Hakim.

- Czy to znaczy, że wyginęły? - spytała Suzanna.

Hakim opuścił głowę.

- Nie będzie chrząszcza, póki nie podejmę decyzji.

- Więc chrząszcze istnieją, tylko pan nie chce nam wskazać miejsca?

- Póki nie podejmę decyzji.

- Co może pana skłonić do zgody?

Hakim milczał, paląc kif. Pobrzękiwały kubki z kawą.

W ciepłym wieczornym powietrzu słychać było na przemian cichnący i rozbrzmiewający głos z radia. Wyglądało to na transmisję z meczu piłkarskiego. Osiris United kontra White Nile Wanderers? W końcu Hakim powiedział:

- Chcę mieć zieloną kartę. Wtedy się zgodzę.

Suzanna popatrzyła na niego i wybuchnęła śmiechem.

- Chce pan mieć zieloną kartę? Chce pan nas nabrać?

- Żądam zielonej karty - powiedział ze złością Hakim. - Doktor Scoodamor obiecywał mi, że będę u niego pracował w Stanach Zjednoczonych. Potem pojechał szukać czarodziejów Soussi i nigdy nie wrócił. Po tylu latach pracy dla niego zostałem z niczym, panie. Z bardzo małą sumą pieniędzy. Doktor Scoodamor był pełen obietnic, a kiedy przychodziło do płacenia, to dawał mi papier.

- Ale w końcu płacił - powiedział Grant.

- Co za korzyść z papieru? - odparował Hakim. - Nie wolno nam wkładać naszych pieniędzy do banków, ponieważ banki są grzeszne, a kiedy trzymamy je w domu, zjadają je myszy.

Wszystkie pieniądze od doktora Scoodamora ukryłem na poddaszu, a kiedy po nie wróciłem, znalazłem tylko kolorowe konfetti i ślady myszy.

Suzanna rzuciła Grantowi szybkie spojrzenie i dotknęła jego ręki, spoczywającej na niebieskim,

metalowym stoliku.

- Możemy poręczyć za Hakima, prawda, Grant? Powiemy urzędowi imigracyjnemu, że był niezbędny w naszej pracy nad skarabeuszem.

Grant uśmiechnął się i przytaknął. Pomyślał: Chryste, Suzanna, nie masz skrupułów.

- Więc poręczycie za mnie? - spytał Hakim.

- Nie wiemy jeszcze - odparł Grant. - Jeżeli chrząszcz jest oszustwem, to nie. Ale jeśli istnieje...

Hakim nabił swoją smukłą fajeczkę. Nad Afryką rozpięła się noc.

- Chrząszcz istnieje - oznajmił.

Następnego ranka odjechali pociągiem z pomalowanego białą farbą dworca kolejowego w Fezie. Było pół do dwunastej i słońce wysysało wszystkie kolory, z wyjątkiem karmazynu, przesadnie wybujałych kwiatów bugenwilli i błękitu nieba.

Pociąg wspinał się mozolnie pod górę. Wiosenne kwiaty malowały każde kolejne wzgórze na inny kolor: na żółto, czerwono, niebiesko. Doliny pełne były białego nawodnika 6

okółkowego, tworzącego spienione fale omdlewająco pachnącego kwiecica. Zapach był tak silny i tak słodki, że Grant zaczął się zastanawiać, czy nie ulegnie zatruciu i nie zapadnie w sen, śniąc o bouhanis, którzy potrafią dyskutować o polityce z umarłymi.

Zapadł w drzemkę, ale cały czas miał świadomość kołysania się i zgrzytania wagonu, i hałasu diesla lokomotywy.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył siedzącego naprzeciw Hakima, obierającego długimi, niezbyt czystymi paznokciami skórkę z pomarańczy.

- Niby mieszkam na Starym Mieście, ale sercem jestem zawsze tu, na Little Hills.

Grant kiwnął głową na znak, że przyjął to do wiadomości, ale zorientował się, że Hakim mówi do siebie.

- Są na świecie miejsca, gdzie tajemnice same się odkrywają. To jest jedno z takich miejsc - ciągnął Hakim.

- Tu jest przepięknie - odezwała się Suzanna. Wzgórza dookoła były szmaragdowozielone, połyskujące drobnymi, białymi kwiatkami. Na niektórych zboczach pasły się stada owiec. -

To jest jak sen.

Hakim poczęstował ją pomarańczą, obraną na kształt kwiatu, ale odmówiła. Podał

pomarańczę Grantowi, który z uprzejmości wziął kawałek.

- Opowiedz mi o skarabeuszu - poprosił.

- To prawda, panie. On istnieje.

- Ale czy go znajdziemy?

- Wszystko to, co istnieje, może zostać odnalezione. Może będziemy musieli udać się do czarodzieja, ale znajdziemy go na pewno.

Jajouka była malownicza, a zarazem miała w sobie pewną tajemniczość. Stanowiła pogmatwany układ osłepiająco białych domków, usytuowanych na stromym wzgórzu, otoczonych drzewami oliwkowymi i żywopłotami z ciernistych grusz.

Kiedy dudnienie pociągu motorowego zamarło w dali, znaleźli się w rozpalonej ciszy. Hakim powiódł ich przez wieś, w której spętane kozy skubały trawę, pobrzękując maleńkimi dzwoneczkami. Przekroczyli białe, sklepione wejście i znaleźli się na zacienionym podwórzu, gdzie młoda kobieta w ciemnoczerwonej sukni wydmuchiwała popiół z osmolonego, glinianego pieca. Koło niej chodził kogut o piórach jakby z wypolerowanego mosiądzu.

- Szukam twojego wuja Hassana - powiedział Hakim.

Słońce przebijało się ukośnie poprzez dym.

Kobieta w błyszczących kolczykach ruchem głowy wskazała cieniste wnętrze domu. Hakim skinął na Granta i Suzannę, żeby szli za nim. Znaleźli się w chłodnym, ogołoconym pokoju, gdzie dwaj starcy w śnieżnobiałych turbanach i w grubych, wełnianych dżelabijach rozpierali się na poduszkach, popijając herbatę i paląc kif.

Nastąpił rytuał przedstawiania się. Hakim pytał o zdrowie braci wuja Hassana, jego kuzynów, jego kóz, o urodzaj i wreszcie o zdrowie żon. Hassan miał długi zakrzywiony nos i głęboko osadzone oczy, i przez cały czas rozmowy obracał w palcach małą kulkę szarego 7

wosku. Drugi mężczyzna był pełniejszy i krępy. Był już po takiej dawce narkotyku, że Grant nie mógł zrozumieć, co mówi.

- Mój pan poszukuje skarabeusza - oznajmił w końcu Hakim. - To jest człowiek wysokiego szacunku i wielkiej nauki i chciałby uzupełnić swoją wiedzę o owadach. Może cię hojnie wynagrodzić.

Hassan przez chwilę myślał, a potem odrzekł bardzo szybko i cicho, ale dość wyczerpująco. Ze swoim kuchennym arabskim Grant nie mógł za nim nadążyć; zdołał

wyłapać słowa "dżip" i "kuzyn".

- Co powiedział? - zapytał Hakima, kiedy Hassan skończył.

- Powiedział, że wie, gdzie można znaleźć skarabeusze. Zbierane są tam, gdzie kwitnie kif, niedaleko stąd, przez góralski, wędrowny szczep Nazareńczyków, którzy potem sprzedają je właścicielom burdeli w Tangerze i w Marrakeszu. On przedstawi pana tym góralom i pomoże w nabyciu dwóch, a może nawet trzech chrząszczy. Nie chce zapłaty, bo niczego nie potrzebuje. Tu nie ma elektryczności ani bieżącej wody, ponieważ zaniepokoiłyby Bou Jelouda, Ojca Strachu, który ochrania nasze owce. Hassanowi wystarczy dziesięcina, którą dostaje za swoje pola, za kif i muzykę. Ale ma w Kebirze kuzyna Ahmeda - ciągnął Hakim który bardzo chciałby mieć nowego dżipa. Jeśli to by się dało załatwić, Hassan zabierze pana do Nazareńczyków, którzy żyją z tych chrząszczy.

- Ile kosztuje dżip? - szepnęła Suzanna.

- Nic, w porównaniu z chrząszczem.

- Więc zdecydujemy się. Nie mogę tu dłużej wytrzymać. Ten dym! Zaczynam doznawać halucynacji.

Hassan coś szybko powiedział. Grant nie zrozumiał wszystkiego, ale pojął znaczenie słów.

- Czy to ten mężczyzna, który słucha kobiety?

Odrzekł po arabsku:

- W naszym kraju zdanie kobiety jest traktowane z takim samym szacunkiem jak zdanie mężczyzny.

Hassan przytaknął, uśmiechnął się i odparł po angielsku:

- Ci, którzy używają jajoukańskiego skarabeusza, nie mają szacunku ani dla mężczyzn, ani dla kobiet; nie mają też zdania.

- Co on ma na myśli?

- On mówi, panie, że ci, którzy chociaż raz użyli skarabeusza, nie mają już poglądów.

Interesuje ich tylko jedno: kiedy będą mogli użyć go po raz wtóry.

Było już po północy, gdy szli z szelestem przez pola, których rósł kif, do prowizorycznego obozowiska górali. Niebo miało kolor purpury, taki sam jak taśmy w staroświeckich maszynach do pisania. Księżyc wisiał nad nimi jak lustro. Wędrowny lud Ahl-el-beit wierzył, że w księżycu odbija się Sahara, że stanowi on zawieszoną na niebie mapę.

Nad namiotami unosił się dym. Usłyszeli głosy i dźwięki piszczałek. Grant uściskał

rękę Suzanny, żeby ją uspokoić, a może by uspokoić siebie. Hakim i Hassan szli przed nimi, owinięci swoimi turbanami i dżelabijami. Za każdym krokiem rozgniatali sandałami płatki kwiatów. Grant czuł ich słodko-zgniłą woń, mieszającą się z zapachem rosy.

To było jak sen.

Weszli do największego z namiotów. Wewnątrz, dokoła głośno syczącej lampy ciśnieniowej, siedziało sześciu czy siedmiu mężczyzn, ubranych w zniszczone dżelabije i koszule.

Siwiejący mężczyzna z oczami jak dwa kamienie, w wieku około pięćdziesięciu lat; trzech lub czterech posępni młodzi mężczyźni o brudnych twarzach; sudański chłopak szesnasto lub siedemnastoletni, mający na sobie tylko przepasaną koszulę, tak że widać było, jak jego długi, goły penis opiera mu się o udo. Starsza kobieta z zasłoniętą twarzą. Dwie młode, w cienkich muślinowych sukienkach, z twarzami odsłoniętymi.

Wuj Hassan usiadł przy siwiejącym mężczyźnie i zaczął mu coś szeptać do ucha, wzmacniając od czasu do czasu argumentację stukaniem dwoma palcami w swoją otwartą dłoń. Mężczyzna przytakiwał i przytakiwał. Hakim, pachnący pomarańczą, szepnął Grantowi do ucha:

- Hassan prosi o rewanż za uczynioną przysługę. Rok temu Nazareńczycy zostali przyłapani na naruszeniu pól Adeptów, a Hassan uratował ich przed karą.

Po dwudziestu minutach mruczenia i przytakiwania siwiejący mężczyzna skinął na jednego z ponurych młodych ludzi.

Ów zniknął, ale po dwóch minutach wrócił, wręczając siwiejącemu dwa małe pudełeczka, wyrzeźbione w drewnie oliwkowym, inkrustowane matowym srebrem. Hassan trącił Granta w łokieć i powiedział:

- W tych dwóch pudełkach Nazareńczyk ma dwa skarabeusze. W Tangerze dostanie za to dziesięć tysięcy dolarów, które wystarczą jego ludowi na rok życia.

Siwiejący mężczyzna otworzył jedno z pudełek i podał Grantowi do obejrzenia. Dno pudełka było wypełnione haszyszem, nektarem pochodzącym z kwiatów kifu, który wydzieliał

silny, charakterystyczny zapach. Po powierzchni biegał szybko, od jednej ścianki pudełka do drugiej, maleńki, czarny chrząszczyk o okrągłym grzbiecie, bardzo podobny do gnojaka, tylko znacznie mniejszy.

Grant i Suzanna oglądali go zafascynowani.

- Wiesz, jakie to ma znaczenie? - powiedział Grant do Hassana. - To jest jak odkrycie źródeł

Nilu, lecz jeszcze donioślejsze.

Siwiejący mężczyzna pochylił się w stronę wuja Hassana i półgłosem powiedział mu coś do ucha. Tym razem Hassan pokiwał głową.

- On pyta, czy zademonstrować wam sposób, w jaki używa się chrząszcza.

- Nie rozumiem.

Hassan wskazał na jedną z dziewcząt, a potem na jednego spośród posępnych młodych mężczyzn.

- Oni wam pokażą, jeśli chcecie.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się Grant do Suzanny.- Chcesz zobaczyć, co oni z tym robią?

Suzanna złapała go za ramię.

- Przecież w tym celu przyjechaliśmy, prawda?

Grant myślał przez chwilę, potem odwrócił się i skinął głową. Lampa syczała i syczała, a ćmy rozbijały się o nią i wirując, spadały na rozpostarte na ziemi koce.

9

Siwiejący mężczyzna coś mówił. Jedna z dziewczyn próbowała dyskutować, ale warknął na nią ostro:

- Tais-toi!

Wstała i zdjęła przez głowę dżelabiję, która spadła obok niej na poduszki. Włosy miała czarne, skórę barwy świeżych daktyli, oczy skośne i prowokujące. Była niska, miała zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jej skóra lśniła od dobrego odżywiania. Piersi miała imponujące: dwie ogromne kule z otoczkami wielkimi jak podstawki kieliszków do wina, poznaczonymi błękitnymi żyłkami. Pepek ukrywał się głęboko w zaokrągleniu brzucha i był

przekłuty złotym kółkiem. Miała pełne uda, między którymi jej nagi srom nabrzmiwał jak dojrzewający owoc. Mimo że byli Nazareńczykami - powód, dla którego Hassan nazywał ich urągliwie chrześcijanami - przestrzegali muzułmańskiego zwyczaju golenia włosów na ciele, tak że wyglądali gładko i czysto.

Dziewczyna uklękła na kocach i odrzuciła rękami włosy. Piersi jej się zakołysały, a srom rozchylił się jak lekki kwiat.

Grant widział jej łechtaczkę i wewnętrzne wargi sromowe tak dokładnie, że poczuł się, jakby oglądał księżyc.

Siwiejący mężczyzna znów coś powiedział i skinął ręką na jednego z młodych mężczyzn, który wstał i rozebrał się. O też był dokładnie ogolony, tak że jego penis wydawał się jeszcze dłuższy. Powoli penis zaczął się podnosić, jego klinowata, obrzezana główka pęczniała z każdym uderzeniem serca, nagie jądra zaciskały się. Mężczyzna ukląkł

naprzeciw dziewczyny i wówczas penis osiągnął pełną erekcję. Wyglądał jak rzeźba utworzona z żył i z jedwabistej, błyszczącej skóry.

Z jego otworu wypłynęła pojedyncza kropla czystego płynu i zalśniła jak diament pojawiający się w ręku magika.

Siwiejący mężczyzna podał nagiej dziewczynie pudełko. Potem strzelił palcami i jeden z asystujących dał mu cienką, polakierowaną rurkę, jeszcze cieńszą niż rurka z sebi. Tę też podał dziewczynie.

Nagi chłopak odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. Złapał ręką swoje jądra, ściskając je, żeby się napięły. Dziewczyna wsunęła koniec rurki do swoich ust i zaczęła delikatnie ssać.

Drugi koniec włożyła do pudełeczka z oliwkowego drewna i ssała dopóty, dopóki nie uwięziła małego chrząszcza w końcu rurki.

- Uważajcie teraz - powiedział Hakim do Granta i Suzanny. - Zobaczycie, co robi się ze skarabeuszem, żeby osiągnąć ekstazę.

Dziewczyna wyjęła z ust rurkę i zatkała ją kciukiem, tak że chrząszcz był w niej uwięziony skutkiem podciśnienia. Potem ujęła lewą ręką sterczący penis chłopaka, rozciągając palcem i kciukiem otwór moczowy, a następnie wsunęła rurkę w jego głąb. Chłopak zazgrzytał

zębami i zacisnął pięści na kocach, ale nie krzyknął. Dziewczyna wsuwała rurkę dalej, aż wystawała zaledwie na pół centymetra i wtedy odjęła kciuk, tak że chrząszcz został

uwolniony w samym pęcherzyku cewki moczowej, tam gdzie zbiera się nasienie na kilka sekund przed ejakulacją.

Wyjęła rurkę; wraz z nią wypłynęło kilka kropel krwi.

Pochyliła się, jej sterczące sutki musnęły koce, i czubkiem języka zlizwała krew.

10

Siwiejący mężczyzna wdał się w długie, uzupełniane gestami rąk wyjaśnianie, które Hakim tłumaczył.

- Skarabeusz jest w ciele chłopaka. Zostanie tam aż do chwili wytrysku. W tym momencie przepłynie razem z nasieniem do samego końca penisa, ale tam zareaguje obronnie na soki kobiety. Przywrze do otworu penisa i natychmiast wypuści drażniący środek, który sprawi zarówno chłopcu, jak i dziewczynie najwyższą rozkosz, a zarazem rozdzierający ból.

- Nigdy sam tego nie spróbowałem, panie – ciągnął Hakim. – Może jestem tchórzem. Ale znam wielu, którzy to zrobili: mówią, że to jest jak niebo pomieszane z piekłem.

Siwiejący mężczyzna klasnął niecierpliwie w dłonie. Nagi chłopak położył się na plecach, trzymając sztywny penis w dłoni. Dziewczyna uklękła nad nim okrakiem, rozwierając szeroko uda.

- Już, już - rzekł siwiejący. Pochylił się i rozszerzył palcami srom dziewczyny. Grant ujrzał

wilgotne, różowe ciało, o barwie świeżo przeciętego granatu. Siwiejący mężczyzna ujął penis chłopaka i pogłaskał go lubieżnie. Potem włożył go między wewnętrzne wargi sromowe dziewczyny.

Dziewczyna usiadła na nim tak, że śliwkowata główka wsunęła się w nią głęboko, aż gładki, nagi, nabrzmiaty srom oparł się o gładką, ogoloną nasadę penisa chłopaka.

Suzanna sięgnęła po dłoń Granta i uściśnięła ją. Zobaczył w jej oczach lęk, a przy tym podniecenie. Uczestniczyli w pokazie seksualnym, który prowokował oglądających do natychmiastowego znalezienia jakiegoś ukrytego miejsca i odbycia orgii seksualnej.

Obozowisko w Little Hills było zwykle pełne muzyki. Piszczalki, bębny, raitas. Teraz panowała cisza. Słysząc było tylko mokre pocałunki pulchnego sromu, składane na sztywnej jak kość erekcji, i konspiracyjne syczenie lampy ciśnieniowej. Wszyscy siedzieli niczym sparaliżowani, patrząc jak dziewczyna i chłopak przyspieszają. Dziewczyna wyprostowała się, ujęła w dłonie swoje spocone, miękkie piersi i ścisnęła je, tak że ciemne sutki sterczały sztywno między palcami. Każdy widział, jak moszna chłopaka zaczyna marszczyć się i zaciskać, a soki dziewczyny spływają wzdłuż ciemnej fałdy dzielącej jego jądra, a potem po bezwłosym rowku odbytnicy. Każdy siedział wstrzymując oddech, zahipnotyzowany miarowym szluk, szluk, szluk penisa wsuwającego się głęboko w śliską pochwę; myśli stawały się coraz bardziej lubieżne; fantazje coraz bardziej wybujałe; a przez cały ten czas chrząszcz siedział głęboko wewnątrz członka, w miejscu gdzie zbiera się sperma; w miejscu, które potem kurczy się, napina i przepompowuje niepomamowanie swoją zawartość w głąb ciała dziewczyny.

Grant nie wiedział, że od dłuższego czasu ściska kurczowo palce Suzanny. Ona też tego nie czuła. Chłopak napinał się coraz bardziej, aż krzyknął. Dziewczyna też krzyknęła, zapewne w oczekiwaniu na to, co miało nadejść. Potem zwarli się w ciasnym uścisku, tarzając się po kocach, krzycząc, wywijając nogami - ale nawet na sekundę nie zwalniając uścisku - z napiętymi pośladkami, robiąc krótkie, kurczowe ruchy biodrami. Oczy mieli wywrócone, zęby mocno zaciśnięte.

Byli jak bouhanis; byli jak psy wyjące do księżyca. Byli jak lamentujące kobiety; jak tancerze Aissaoua, którzy w transie całują węże albo rzucają żywe owce wysoko w powietrze pożerając je, nim zdążą spaść na ziemię. Przez dłuższą chwilę Grantowi wydawało się, że chcą umrzeć.

- Jezu - wyszeptała Suzanna. - Martw się, doktorze Ruth.

11

Upłynęło przeszło pięć minut, nim chłopak i dziewczyna przestali drżeć, tarzać się i przeżywać swój orgazm. W końcu, chwytając łapczywie powietrze, spoczęli na wznak na kocach. Mieli zamknięte oczy, ich nagie ciała spływały potem. Z rozchylonej pochwy dziewczyny kapąca sperma, ale mężczyźni w namiocie patrzyli na to z całkowitą obojętnością, jakby dziewczyna była kozą, którą trzeba było wydoić i trochę się przy tym wylało. Siwiejący Nazareńczyk ukląkł przy chłopaku, podniósł jego mokry, wiotczący penis i włożył do jego otworu koniec cienkiej rurki. Uśmiechnął się z zadowoleniem, wyjmując skarabeusza, którego troskliwie schował do pudełeczka z oliwkowego drzewa.

Powiedział coś do Hakima, który przetłumaczył:

- Ci dwoje będą teraz spali przez trzy albo cztery godziny. Kiedy się zbudzą, będą to chcieli natychmiast powtórzyć, tym razem ze znacznie silniejszą potrzebą wewnętrzną. Skarabeusz, kiedy staje się nałogiem, jest gorszy niż kif. Wystarczy raz go spróbować i człowiek staje się niewolnikiem. Może to jest ta prawda, po którą przybyliście tutaj. - Uśmiechnął się. -

Możecie zabrać dwa skarabeusze. Oba są samcami, więc nie będą się rozmnażały, a poza tym te chrząszcze mnożą się tylko tutaj, na polach, gdzie rośnie kif.

Wręczył dwa drewniane pudełeczka wujowi Hassanowi, który ukrył je gdzieś głęboko w fałdach swojej wełnianej dżelabiji.

- Jedna przestroga - powiedział. - Nigdy nie przechowujcie dwóch samców skarabeusza w tym samym pudełku i nigdy nie umieszczajcie w penisie więcej niż jednego. Samce skarabeusza są maleńkie, ale bardziej agresywne od skorpionów. Będą walczyły z sobą na śmierć i życie.

Wuj Hassan położył dłoń na ramieniu Nazareńczyka.

- Mektoub - rzekł. - Jesteśmy kwita.

Wrócili do Fezu tym samym pociągiem, tą samą drogą, wijącą się między wzgórzami.

Ranek był pochmurny, ale kwiaty pachniały jeszcze bardziej omdlewająco niż przedtem.

Grant był ożywiony i podekscytowany, robiąc nie kończące się zapiski na temat Scarabaeidae jajoucae w notatniku trzymanym na kolanie. Suzanna wydawała się dziwnie apatyczna i zmęczona. Patrzyła na wzgórza przesuwające się w poprzek okien, nie wiedząc czy to jawa, czy sen. Hakim poprzedniego dnia palił kif w dużych ilościach i teraz spał z podbródkiem na ramieniu. Kiedy wrócili do hotelu, Suzanna powiedziała:

- Myślę, że powinniśmy sami spróbować.

- Czego? - spytał Grant. Właśnie otwierał butelkę wody Oasis Gazeuse.

Podeszła do niego i stanęła bardzo blisko, nie dotykając go jednak.

- Myślę, że powinniśmy spróbować. Mam na myśli skarabeusza. Nie można prowadzić wykładów na jego temat, nie wiedząc jak działa.

- Mówisz o sobie i o mnie?

Przytaknęła. Miała taki sam wyraz oczu jak wówczas, gdy opowiadała mu, w jaki sposób uprawiała seks z pięcioma mężczyznami równocześnie. Taki wyraz pojawiał się w oczach Suzanny bardzo rzadko. Nagle uświadomił sobie, że jej biała dżelabija jest rozpięta, ukazując zaokrąglenia piersi, i poczuł ciepło promieniujące z jej ciała.

Napił się słonawej wody mineralnej prosto z butelki.

- Nie boisz się? - zadał pytanie.

12

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nigdy nie bałam się żądzy. A ty?

- Czasem tak. Ale tu mamy do czynienia z żądzą wywołaną specjalnym środkiem, a nie naturalną. Domyślam się, że skarabeusz reaguje na proteiny zawarte w nasieniu mężczyzny i wydziela pewną substancję, tak jak Cantharides albo hiszpańska mucha.

- Możemy pobrać próbki - poddała Suzanna, ale jej uśmiech był daleko mniej naukowy.

Grant poszedł po wykładanej kafelkami podłodze do okna i stanął przy falujących, siatkowych firankach, patrząc w dół na dziedziniec i na wodę tryskającą z pomalowanej na niebiesko fontanny. Na rogu dziedzińca stał jednooki mężczyzna, trzymając w każdej ręce wielką, żywą ropuchę.

- Nie wiem - powiedział Grant. - Wszystkie nasze rzeczy są już spakowane.

Podeszła i znów stanęła blisko niego, ale tym razem pogłaskała spłowiały kosmyk włosów za jego uchem.

- Boisz się - stwierdziła.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Tak, bał się. Ale nie wiedział, kogo boi się bardziej: małego skarabeusza w pudełku z oliwkowego drewna, czy Suzanny.

Poszli pod prysznic i namydlali się wzajemnie w rozbrzmiewającej echem łazience, wyposażonej w staroświecką armaturę. Potem ogolili włosy łonowe maszynką Gillette Granta.

Kiedy Grant wycierał się ręcznikiem, Suzanna namaściła się olejkiem jaśminowym, kupionym w Socco. Włosy zawinęła w sporządzony z ręcznika turban. Z jej wysokich, okrągłych piersi sterczały stwardniałe sutki. Była bardzo szczupła, miała wąskie biodra i bardzo długie nogi. Kształtne wargi jej sromu były zamknięte, jakby ukrywały tajemnicę.

Grant wyszedł z łazienki. Jego serce biło w wolnym, wyraźnym rytmie, podobnym do rytmu bębnów tancerzy, którzy w ekstazie tańczą, wirują i tłuką na własnych głowach gliniane garnki, aż ich twarze ociekają krwią.

- Nie sądzisz, że powinniśmy włączyć muzykę? - spytała Suzanna.

Podszedł do radia i nastawił jakąś algierską stację, nadając muzykę. Suzanna wspięła się na przykrywające łóżko durry w zielone i czerwone pasy, i usiadła na nim ze skrzyżowanymi nogami, opierając na kolanach przeguby rąk. Grant podszedł do biurka i wyjął z niego jedno z drewnianych

pudełek oraz cienką, lakierowaną rurkę. Miał na pół wzwiedziony członek.

Suzanna roześmiała się tym swoim mało naukowym śmiechem.

- Wyglądasz jak Dawid Michała Anioła.

Wspiął się na łóżko i usiadł naprzeciw niej. Podał jej rurkę, a potem ostrożnie otworzył pudełko. Skarabeusz tkwił bez ruchu w jego rogu.

- Chyba nie jest martwy? - spytała z troską.

- Raczej znajduje się w transie. W tym pudełku jest tyle haszyszu, że mogłabyś fruwać przez miesiąc.

Suzanna pochyliła się do przodu i końcem rurki popchnęła skarabeusza. Grant patrzył, jak kołyszą się jej piersi i jak rozchyła się srom, przygotowujący się do odsłonięcia swojej tajemnicy. Czuł się rozgorączkowany. Radio nadawało płacziwą, nie kończącą się muzykę.

Siatkowe firanki falowały,

13

a ich cienie tańczyły po twarzy Suzanny. Tańczyły po jej sutkach, o barwie więdnących w upale płatków róży, i czesały jej opalone uda. Ujrzał łechtaczkę wysuwającą się z jej warg sromowych, podobną do różowego, błyszczącego dzioba kanarka.

Wzięła rurkę do ust i zaczęła delikatnie ssać. Skarabeusz przylgnął do nektaru, opierając się wciągającemu go ssaniu. Po chwili jednak przywarł do otworu rurki i Suzanna mogła wydostać go z pudełka dzięki maleńkiej próżni, którą stworzyła. Podniosła oczy i powiedziała:

- Wiesz, że nie musisz tego robić.

- Wiem... Ale jak słusznie powiedziałaś, nie możemy udawać, że wiemy, o czym mówimy, jeśli sami go nie wypróbujemy.

Suzanna ujęła lewą ręką jego na pół stojący członek i powoli pieściła go, aż nabrzmiął i zeszywniał. Nigdy przedtem nie kochali się w ten sposób, przynajmniej nie tak rytualnie.

Najczęściej byli wstawieni, radośni, zmęczeni albo po prostu napaleni na siebie. Tego ranka wszystko toczyło się powoli, jakby sami byli zanurzeni w nektarze.

Grant patrzył z zainteresowaniem postronnego obserwatora jak Suzanna ścisnęła pulchną, purpurową główkę penisa, żeby rozszerzyć jego otwór. Nie podnosząc głowy, wsunęła głęboko

do cewki moczowej polakierowaną rurkę - z precyzją szwaczki lub chirurga. Poczul

pieczenie; wydawało mu się, że Suzanna napelnia jego cewkę moczową rozpalonym tłuszczem. Cofnął się, ale Suzanna objęła jego ramię, żeby go uspokoić, i wsunęła ostatnie centymetry rurki do cewki. Potem odjęła kciuk od końca rurki i wysunęła ją z powrotem. Z

penisa trysnęła krew i spłynęła w dół między nogami Granta.

- Chryste, to boli.

Pocałowała go i czule popieściła.

- To boli, ale chrząszcz jest już w środku. Zobaczmy teraz, jak smakuje.

Popchnęła go na durry. Poczul na plecach dotyk szorstkiej tkaniny. Wspięła się na niego jak bezwłose zwierzę. Całowała go po twarzy, wsuwała mu nos do ust, delikatnie gryzła w uszy.

Czuł palenie w członku, podrażniła bowiem delikatną cewkę moczową. Czuł też jakieś swędzenie, wysoko między nogami, dokuczające jak popiół w oku. Penis przestał krwawić i zaczął z mego wyciekać czysty śluz, znacznie obficie niż zwykle. Masowała jego jądra, bawiła się członkiem, a on nagle zaczął mieć przeczucie, że wkrótce spotka go coś strasznego.

W końcu siadła na nim okrakiem, rozchylając szeroko uda. Zobaczył połyskującą szparę. Ujęła obiema rękami jego nabrzmiąłą erekcję i wprowadziła ją między swoje ogolone wargi sromowe. Zamknął oczy. Słyszał przeciągłą, zawodzącą muzykę. Słyszał modlitwy i klótnie. Czuł się tak, jakby jego penis był ssany przez połykacza ognia z Socco Chico. Potem Suzanna powoli usiadła i wtedy wśliznęła się głęboko w jej chłodną, ciepłą wilgotność.

Z początku kochali się powoli. Grant w dalszym ciągu miał zamknięte oczy. Wciąż odczuwał między nogami to swędzenie. Potem ona przyśpieszyła, poruszając biodrami coraz szybciej i szybciej; uda miała szeroko rozwarte, a jej piersi kołysały się z boku na bok. Ich soki wydawały na ogolonej skórze zmysłowe odgłosy mlaskania. Przywarli do siebie, obejmując się rękami. Byli na pustyni, gdzie przesypujący się piasek dźwięczy nie kończącym się glissandem. Byli na pustyni, sami, na Wielkim Ergu północnej Sahary, u stóp bezcienistej wydmy. Niebo wisiało nad nimi jak baldachim z lazurowego jedwabiu.

Grant poczul, jak napinają mu się mięśnie i nadchodzi kulminacja. Ale tym razem dochodzenie do kulminacji odbywało się inaczej. Krew w jego głowie waliła jak bębny 14

Czarnych Braci. Zaczął ciężko oddychać. Świerzbienie stało się nie do zniesienia. Miał

uczucie, jakby ktoś umieścił w jego cewce moczowej drut kolczasty i teraz powoli go wyciągał.

Potem doznał nagłego wstrząsu. Krzyknął, a może mu się wydało, że krzyknął. Poczul

w członku rozżarzony do białości ból, a zarazem niewysłowioną rozkosz. Miał wrażenie, że zanurza go w płynnej stali. Uniósł biodra, żeby soki Suzanny ugasiły ogień, ale nie poczul

ulgi. Ona też krzyczała. Oboje przeżywali orgazm za orgazmem.

To było nie do wytrzymania. Czuł, że ucieka z niego życie. Pędził, przebijając drzwi i ściany, przez wąskie uliczki i obskurne bazary. Pędził przez podwórka i labirynty korytarzy.

Rycząc rozwalił mur świątyni Sidi Bou Galeb, w której siedzą powiązani łańcuchami szaleńcy. Szybował w rozedrganym powietrzu nad pustynią, słysząc głosy wołające: Houwa!

Houwa!.

W końcu wybuchnął jak francuska bomba wodorowa, dwadzieścia pięć kilometrów nad Sidi Ben Hassid, oślepiając wszystkich, którzy na niego patrzyli.

Suzanna dotknęła jego policzka. Otworzył oczy i zobaczył, że był już zmierzch. Z

podwórza wiał ciepły wiatr, przynoszący zapach wody tryskającej z fontanny.

- Co się stało? - zapytał. - Czy umarłem?

Jej głos był niski, drżący i pełen żądz, podobny do dźwięku piszczałek w Little Hills.

- Scarabaeidae jajoukae - wydyszała.

Na kolację poszli do małej restauracji naprzeciw hotelu i jedli ostro przyprawiony barani kebab. Ćmy uderzały z trzaskiem o żarówki. Oboje ledwie mogli mówić. Czuli się, jakby uleciały z nich dusze. Nie patrzyli na siebie, ale trzymali się za palce i myśleli o chrząszczu spoczywającym w pudełku z oliwkowego drewna. Siwiejący mężczyzna miał rację:

"Wystarczy raz go spróbować i człowiek staje się jego niewolnikiem".

Kończyli jeść, kiedy z mroku wyszła jakaś postać.

- Hakim - powiedział Grant. - Co cię sprowadza do Kebiru?

Hakim przyciągnął sobie krzesło i zamówił herbatę.

- Myślałem, że mogę mu się oprzeć - rzekł.

Grant poczęstował go easa sportem, z którego tamten zręcznie wytrząsnął tytoń, napełniając pustą gilzę włochatą zieloną marihuaną.

- Myślałeś, że czemu możesz się oprzeć? – spytała Suzanna, czując, że tym razem ona ma przewagę.

- Wiele lat temu użyłem skarabeusza, panie. Nie mogę o tym zapomnieć.

- A zatem... Co proponujesz?

Oczy Hakima rozbliły.

- Użyliście go już, prawda? Ja po prostu musiałem wrócić.

Ludzie mogą nie wrócić do haszyszu, mogą nie wrócić do żadnego innego narkotyku, ale pójdą na koniec świata za chrząszczem z Jajouki. Mam rację, panie? Pójdiesz po niego na koniec świata.

15

Grant i Suzanna milczeli, ale ich palce splatały się i rozplatały. Hakim obserwował ich i wiedział, że ma rację.

- Macie mnie pewnie za godnego pogardy – ciągnął Hakim. - Ale mój ojciec i matka mieli dobre pochodzenie, a ja zawsze przestrzegałem właściwych dróg postępowania.

Wyjął zapałkę, zwitek brązowego papieru o główce z turkusowej siarki, i potarł ją o pył kamienny, przyklejony do jednej strony pudełka. Zapalił swojego papierosa z marihuany.

Ciepła, północnoafrykańska noc pachniała grochówką.

- Masz rację - przyznał Grant. – Wypróbowaliśmy skarabeusza.

- Chcecie to powtórzyć?

Oboje przytaknęli.

- Wobec tego, czy mogę się do was przyłączyć?

- Masz na myśli trójkąt? - spytał napastliwie Grant.

Suzanna ścisnęła mu rękę.

- Dlaczego nie? To nasza ostatnia noc w Maroku. Jutro odlatujemy samolotem Air France, pijemy szampana i wracamy, odświeżeni, do naszego zawodu. Dzień później jemy lunch w The Commonwealth Brewery. Ale dzisiaj... Czemu nie?

- Nie mam żadnych chorób, panie - przekonywał Hakim. - Zawsze byłem bardzo skrupulatny.

Grant popatrzył na jego poliniowaną, kubistyczną twarz i na oczy, które zdawały się unosić w powietrzu. Czuł zazdrość i urazę. Pamiętał jednak, że w ich pokoju hotelowym skarabeusz z Jajouki intensywnie odżywia się nektarem. Pamiętał też uczucie rozrywania się na atomy.

Hakim wszedł do sypialni już rozebrany. W pokoju panował mrok rozświetlony tylko małą lampką oliwną, której pływający knot palił się migotliwym płomieniem. Hakim był

chudy i muskularny, jego sutki wyglądały jak dwa migdały. Całe ciało było starannie ogolone. Miał obrzezany i bardzo długi penis, z główką na kształt łba kobry.

Grant i Suzanna, też rozebrani, czekali na niego, leżąc na wymiętoszonym łóżku. Dwa pudełka z oliwkowego drewna spoczywały między nimi. Ku własnemu zdumieniu Grant poczuł erekcję, kiedy tylko Hakim zjawił się na progu; kiedy zaś wspiał się na durry i spoczął

obok nich, a Suzanna ujęła jego członek i z ekscytującym uśmiechem wodziła po nim ręką w górę i w dół, erekcja Granta była już silniejsza niż kiedykolwiek.

- Teraz ty... - powiedziała Suzanna, biorąc rękę Granta i wkładając ją między nogi Hakima.

Grant zorientował się, że ściska i pieści gładki, kawowego koloru penis Hakima, i toczy palcami jego bezwłose jądra. Nigdy jeszcze nie dotykał w ten sposób żadnego mężczyzny, a teraz był tak podniecony, że zaczął ciężko dyszeć.

Suzanna otworzyła pierwsze pudełeczko i wyssała lakierowaną rurką pierwszego chrząszcza.

- Ten będzie dla ciebie, Hakimie - wyjaśniła i mocno ujęła jego sztywny członek. Grant ujrzał, jak chudy brzuch Hakima cofa się, kiedy Suzanna wsuwała rurkę wewnątrz jego penisa.

Suzanna zwolniła kciuk i skarabeusz został głęboko w środku. Z czubka członka Hakima pociekła krew, a Suzanna pochyliła się i zlizwała ją. Grant śledził jej ruchy z zazdrością i wzrastającym podnieceniem.

16

Teraz Suzanna umieściła drugiego chrząszcza w penisie Granta. Przechodził to już po raz drugi, więc czuł straszliwy ból. Kurczowo złapał się durry i już chciał krzyknąć, ale się opanował. Nie chciał okazywać słabości przy Hakimie.

W pokoju szemrała muzyka z Radio Cairo. Oliwna lampka rzucała na sufit koronkowe cienie. Suzanna położyła Hakima na wznak, a sama ułożyła się na nim, opierając się plecami o jego piersi.

Sięgnęła w dół, chwyciła jego klinowaty penis i umieściła go między swoimi pośladkami. Potem z najniezwyklejszym popychaniem, kręceniem się i dyszeniem, jakie Grant kiedykolwiek w życiu widział, nadziewała się na niego coraz bardziej i bardziej, tak że w końcu członek Hakima był w niej zagłębiony aż po kawowego koloru mosznę.

Z pochwy Suzanny ciekły soki jak miód z odłamanego plastra. Nie musiała dawać znaku Grantowi, że teraz jego kolej wspiąć się na nią - na nich oboje. Znalazł miejsce, żeby uklęknąć wśród płataniny czterech nóg i wsunął swoją swędzącą erekcję w jej pochwę. Jego jądra zderzyły się zjadrami Hakima, a Suzanna nie mogła oprzeć się pokusie mieszania ich razem, jakby była gwałcona przez dwupenisowego, czterojądrowego potwora.

Obaj zaczęli wbijać się w nią coraz mocniej i mocniej. Pocili się i oddychali ciężko, przy zawodzącej muzyce z radia. Grant czuł pod sobą śliskie piersi i przynaglające uda, a jego jądra uderzały w jądra Hakima w takt: Nadchodzą Anglicy! Nadchodzą Anglicy! Wyczuwał

Hakima przez cienką, śliską przeponę, dzielącą pochwę od odbytnicy. Ich penisy walczyły z sobą: penis chrześcijanina z penisem mahometanina, oddzielone od siebie tylko najdelikatniejszą, rozciągliwą skórą.

W pewnym momencie Suzanna osiągnęła orgazm i zadrżała jak ziemia w Agadirze podczas

trzęsienia. Jądra obu mężczyzn zostały zalane jej sokami, ale nie przestali wbijać się w nią, aż

Hakim wytrysnął i Grant wytrysnął, i cała trójka została zamknięta w kokonie najwyższego uniesienia, wywołanego chemicznie. Znajdowali się w przestrzeni, zawieszona w innej przestrzeni, która była zawieszona w jeszcze innej przestrzeni.

Oba skarabeusze były jednak samcami. I ten, który przylgnął do wylotu penisa Granta, i ten, który przylgnął do wylotu penisa Hakima. Odległość między nimi wynosiła zaledwie centymetr. Odkryły wzajemną obecność nie poprzez zapach czy dźwięk, ale wyczuwając wibrację osłon ich skrzydełek, które drgały przy wydzielaniu podniecających chemikaliów.

Oba były ślepo zawziętymi, wzajemnymi wrogami.

Grant zagłębiał penis raz po raz, mając wrażenie, że jest w niebie. Hakim robił to samo, śniąc o tańcach i fujarkach, i słońcach wybuchających nad pustynią. Przeżywali orgazm za orgazmem. A przez cały ten czas skarabeusze przedzierały się przez ciało Suzanny, oszalałe z wzajemnej nienawiści, wydzielając coraz więcej chemikaliów.

Suzanna osiągnęła jeszcze jeden wstrząsający orgazm. Wtedy właśnie skarabeusze przedarły się przez ściankę jej pochwy i zaczęły walczyć. Z pochwy trysnęła krew i zalała durry, ale ani ona, ani Grant, ani Hakim nie byli świadomi, co się dzieje. Im bardziej zawzięcie walczyły z sobą skarabeusze, tym silniejsze były wydzielane przez nie chemikalia, a trójka ludzi na łóżku trwała i trwała w nie kończącym się spazmie.

Godzina po godzinie skarabeusze ścigały się wzajemnie, przegryzając się przez macicę, nerki i jelito. Przedzierały się przez arterie, rozszarpały błony śluzowe.

Przegryzały się przez wątrobę i tkankę płucną. Krew wypełniała wszystkie wydrążenia.

Suzanna przeżyła kolejny orgazm, a potem nagle ogarnął ją ból. Żołądek i jelita zaczęły ją

piec tak, jak gdyby połknęła kwartę benzyny i podpaliła ją. Krzyczały w niej wszystkie nerwy.

Suzanna też krzyczała, nawet wtedy doznała jeszcze jednego orgazmu. Skarabeusze były maleńkie, ale ich szaleństwo było szaleństwem pustyni, szaleństwem walki o przetrwanie.

Łóżko nasiąkało krwią, która chlupotała, podczas gdy Grant i Hakim wybuchali jak bomby wodorowe.

Ręce Suzanny zatrzepotały i opadły, a nogi stopniowo zeszywniały.

Właściciel hotelu Africanus otworzył drzwi i pokazał kapitanowi Hamidowi, co się wydarzyło. Na łóżku było tyle krwi że wyglądało na to, iż ktoś przyniósł pełne jej wiadro z pobliskiej rzeźni i posmarował nią durry i trzy osoby, leżące na nim w tej chwili jak nieżywe. Dziewczyna miała pobladłą twarz i rzeczywiście nie żyła. Mężczyźni byli odrażająco pokrwawieni, ale spali mając na twarzach wyraz szczęścia. Siatkowe firanki falowały w porannym wietrzyku.

Kapitan Hamid dotknął kostki dziewczyny. Skóra była zimna. Krew już wyschła.

Podniósł jedno z otwartych pudełek z drewna oliwkowego i powąchał je, a potem podał sierżantowi, który też je powąchał.

- Tak, to haszysz - potwierdził.

Na komisariacie policji kapitan Hamid, siedząc pod bezustannie pracującym wentylatorem, otworzył ostrożnie drewniane pudełeczko i postawił je na stole.

- Tak, to jest jedno z pudełek, w których trzymaliśmy skarabeusze. Scarabaeidae jajoukae.

Profesor Hemmer z Tangier Institute opowie panu o nich.

Kapitan Hamid nosił bardzo starannie przystrzyżony wąsik. Jego wąsik przypominał

Grantowi mały żywopłot, który oglądał w meczecie Kutubija w Marrakeszu.

- Przykro mi, ale nie ma ani takiego profesora, ani takiego instytutu.

- Nie pojmuję. Pojechaliśmy po nie do Jajouki w Little Hills.

- Jajouka? Przykro mi, ale nie ma takiej miejscowości.

- Ależ myśmy tam byli. Znaleźliśmy tam skarabeusze i przywieźliśmy je z sobą.

- Przykro mi, ale takich skarabeuszy nie ma.

- Przecież widzieliśmy je na własne oczy. Na litość boską, one zabiły Suzanne!

Kapitan Hamid posunął w jego stronę paczkę papierosów Casa Sport i pudełko zapalek z brązowego papieru.

- Pańska przyjaciółka umarła na skutek perforacji jelita, spowodowanej brutalnym stosunkiem analnym. Skarabeusz, przyjacielu? Nie ma takiej rzeczy. Ktoś naopowiadał panu kłamstw.

Mężczyzna w białym ubraniu włożył kapelusz. Zobaczył wyraz smutku, przebiegający po twarzy Granta, jak cień chmury przesuwejacej się nad Saharą.

- Doktorze Donnelly, przepraszam za moją niegrzeczność.

- Nie, nie - powiedział Grant. - Nie musi pan przeproszać. Oto, proszę... - dodał, wyjmując swój bilet wizytowy.

- Chce pan, żeby zatelefonować, kiedy wróci pan do Bostonu? - spytał.

- Chciałbym, żeby pan był ze mną w kontakcie. Jeśli zdarzyłoby się, że znalazł pan to, czego szuka.

Rzucił mężczyźnie ostatnie, znaczące spojrzenie. Potem poszedł przez błyszczący, wykafelkowany hall hotelu Splendid w stronę swojej żony. Ogarniała go taka żądza, że ledwie mógł mówić.